№ 14.

Warszawa, dnia 27 Marca / 8 Kwietnia 1865 r.

TYGODNIK MÓD

NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

CENA. w Warszawie *kwartalnie* złp. 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr. 3); *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). Na Prowincji *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75). — W Cesarstwie i Królestwie, z dopłatą kopert pocztowych *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop. 50); *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 kop. 75).

Prenumerować można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*, w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą. — Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, prosimy adresować. — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie, ulica Żabia Nr. 956 b, dom dawniéj Krzemińskiego.*

IŁŻA POD RADOMIEM

(Dalszy ciąg).

II.

ZAMEK I POBYT W NIM ZNAKOMITYCH OSÓB.

Dojeżdżając do miasta najprzód wpadają w oczy ruiny starego zamczyska sterczącego na wysokiéj skale. Szczególniéj wspaniale wygląda wysoka baszta, przyczerniała od czasu, otoczona gruzami i szczątkami murów grubych, potężnych, niegdyś stanowiących zapewne ochronne opasanie przed tatarską napaścią. Dziś pusta i cicha, w dzień kiedy w miasteczku wre życie w całéj pełni, ona pobłyskując słonecznemi promieniami, zdaje się w ciszy błogosławić gwarnemu ludzi rojowi. W nocy zaś, kiedy księżyc w pełni wypłynie w całym majestacie na niebieski lazur nieba, i bladym promieniem zakradnie się między ruiny zamczyska, baszta i gruzy jakieś fantastyczne przybierają kształty, jakby minione wieki powstały z mogiły i przechadzały się z powagą po urwiskach i rozpadlinach. Według wieści historycznych, Iłża od niepamiętnych czasów należała do obszernych dóbr biskupów Krakowskich. Pierwiastkowo zamek był tylko drewniany i dopiero w roku 1340 Jan Grot biskup Krakowski wymurował go z wielkim kosztem i nakładem, zważywszy przykrość dostępu do miejsca na którem został wzniesiony. Sądząc ze szczątków muru, ku wschodniéj wyciągniętych stronie, dziś otoczonych już uprawnem polem, zamek ten należał niegdyś do najobszerniejszych i utrzymywał się ciągle w swéj świetności aż do roku 1788, to jest do chwili, kiedy dobra biskupów przyłączone zostały przez sejm do dochodów skarbowych.

Pierwszy jego fundator Jan Grot był wysłany przez Stany Królestwa do Papieża Benedykta XII z zaskarżeniem na krzyżaków o krzywdy przez nich wyrządzone. Nastąpiło to po zjeździe w Wyszogrodzie w r. 1335, na którym oprócz Kazimierza W-go znajdował się Karol Robert król Węgierski, Jan król Czeski z synem Karolem, Książęta Szlązcy i Kujaw-

scy, a przytem mnóstwo panów świeckich i duchownych. Po załatwieniu różnych nieporozumień, rozjemcy wreszcie przygotowali umowę, ale Stany jéj nie przyjęły i wyprawiły Jana Grota do Benedykta XII, który wyznaczył dwóch legatów do ostatecznego roztrzygnięcia nieporozumienia i dał upoważnienie, aby wszelkiéj broni duchownéj a nawet i świeckiéj przeciw winnym użyli. Sędziowie ci, zjechali dopiero po upływie całego niemal roku, dnia 4 Lutego 1339 do Warszawy i po wysłuchaniu 125 świadków i samego Kazimierza pod przysięgą, w dniu 15 Września ogłosili wyrok, z obowiązkiem wynagrodzenia wszelkich szkód wyrządzonych.

Przeciw temu wyrokowi, pełnomocnik Zakonu odwołał się do stolicy apostolskiéj, oskarżając legatów o przedajność, a Kazimierza o wiarołomstwo i sprzymierzanie się z Tatarami. Papież widząc takie zagmatwanie sprawy, polecił nowe jéj rozpoznanie; i nieporozumienia te wlekąc się lat kilka, rozbierane powtórnie w Toruniu, zaledwie załagodzone zostały na zjeździe w Kaliszu r. 1343, mocą którego, Zakon oprócz innych warunków, miał wypłacić 10,000 czer. zło. czego jednak nie dopełnił. W tym to czasie wzniesiony został zamek w Iłży, a chociaż ostateczne jego wykończenie musiało się zapewne dość długo przeciągnąć, jednak uznając jego użyteczność dla całéj okolicy i pragnąc ją podnieść, z rozkazu Kazimierza, miasto murem i basztami otoczono. Było to ostatnie dzieło tego króla, który dnia 5 Listopada 1370 roku z powszechnym żalem umarł w Krakowie. Szczególnie dbający o bezpieczeństwo publiczne, niszczący z największą surowością rozboje, gwałty i łotrowstwa, on to głównie przyczynił się do wytępienia band rozbójniczych w obszernych lasach otaczających Iłżę, podania więc o zbójach z tamtych czasów wzięły początek, a nawet kto wie czy i budowa kapliczki do owéj nie należy epoki. Zawsze jednak pochodzenie jéj starożytne żadnéj nie ulega wątpliwości.

Chociaż zamek należał do Pasterzy Krakowskich, mosty przecieć jego zwodzone spadały zawsze gościnnie na przyjęcie dostojnych gości, ile razy tylko nadarzała się do tego sposobność. Kiedy Władysław Jagiełło spór swój z krzyżakami, oddał pod sąd cesarza Zygmunta, i ten nie wysłuchawszy posłów czekających we Wrocławiu, całą sprawę na korzyść Zakonu rozsądził, posłowie oburzeni taką niesprawiedliwością, wyjechali bez pożegnania i przez gońca zawiadomili króla o zapadłym wyroku. Władysław natychmiast wyruszył w drogę, w celu przygotowania wyprawy przeciw Krzyżakom, o czem dowiedziawszy się Zygmunt, chcąc odwrócić grożącą burzę Zakonowi, wysłał posłów z poleceniem wyjaśnienia powodów, jakie go skłoniły do wydania wyroku. Dwaj wysłańcy cesarscy, zastali Jagiełłę w r. 1420 bawiącego w zamku Iłżyckim i po długim wywodzie i zręcznem przedstawieniu rzeczy oświadczyli wreszcie, że mylnie wydany wyrok odwołany zostanie. Skutkiem tego do cesarza Zygmunta wyprawieni zaraz zostali z zamku Iłżyckiego: biskup Krakowski, Wojciech Jastrzębiec i Zbigniew z Brzezia Marszałek koronny, ale ci nic nie sprawili.

Późniejsze wspomnienie historyczne sięga roku 1511 w którym Zygmunt I chwilę swego pobytu w zamku Iłżyckim, naznaczył za wstawieniem się Jana Konarskiego biskupa Krakowskiego, wydaniem pozwolenia miastu pobierania mostowego, po trzy denary od wozu towarami ładowanego, z warunkiem utrzymywania mostu w należytym stanie. Było to w czasie trwającego sejmu w Piotrkowie głównie zajętego utworzeniem stałéj obrony, przeciw Tatarom ponawiającym swoje napady. Napaści te i rozszerzanie się potęgi Tureckiéj, nie tylko wówczas straszne były dla ziem Rzeczypospolitéj, ale nawet coraz stawały się groźniejsze dla całéj Europy.

Papież Pius II rozumiejąc to przyszłe niebezpieczeństwo, powziął zamiar stanowczego zagnania Turków w pustynie Azji i Afryki, z których wyruszeni zostali niefortunnemi wyprawami krzyżowemi. Wprzód jednak chciał w krajach chrześcijańskich, zaprowadzić powszechny pokój, aby połączyć wszystkie siły i niemi uderzyć w groźną potęgę ottomańską. W tym celu legata swego Pizona, przysłał do Zygmunta I z oświadczeniem, że wszyscy królowie chrześcjańscy za namową jego wyruszą przeciw niewiernym na wyprawę, że poddają się w téj nowéj walce w imię Krzyża przedsiębranéj pod wyłączne jego zwierzchnictwo, z warunkiem aby tylko pierwszy dał hasło do boju. Zygmunt znający dobrze płonność obietnic podobnego rodzaju, zbył legata odpowiedzią, że w razie powszechnéj na Turków wyprawy, nie omieszka razem z innemi wyruszyć w pole, lecz pierwszy zrywać się nie myśli. Przezorność ta była zupełnie w swojem miejscu, bo groźne zamiary Papieża spełzły na niczem, a Zygmunt I nie wplątał się w wojnę, zupełnie dla siebie nie pożądaną.

W rokoszu Zebrzydowskiego przeciw Zygmuntowi III, gdy wszelkie środki porozumienia, uporem stron obydwóch, okazały się daremnemi, rokoszanie rozłożeni obozem pod Jeziorną o dwie mil od Warszawy, obawiając się uderzenia wojska kwarcianego, wyruszywszy nagle w nocy do Warki, poszli potem w dalszy pochód do Radomia i między Wolą Guzowską, Orońskiem i Kregulczą w dniu 5 Lipca 1607 roku, nastąpiła bitwa, w któréj Zygmunt pod wodzą Żółkiewskiego odniósł najzupełniejsze zwycięztwo. Zebrzydowski po klęsce téj, przezwanéj Guzowską schronił się do klasztoru Bernardynów w Opatowie,

a Zygmunt wydawszy groźne przeciw rokoszowi uniwersały, z wojskiem swem rozłożył się pod Iłżą i zamieszkał w zamku. Tu to dalsze odbywały się narady nad uśmierzeniem zamieszek, gdy jednak czynności strony przeciwnéj nie ustawały i z Lublina wyszedł uniwersał ogłaszający bezkrólewie i zjazd elekcyjny pod Warszawą, Zygmunt z obozu pod Iłżą ogłosił jeszcze ostrzejsze przeciw rokoszanom uniwersały, wzywając do posłuszeństwa i uspokojenia. W lat potem siedmnaście zamek został znacznie rozprzestrzeniony i dogodniéj urządzony przez biskupa Marcina Szyszkowskiego, i widać że depełniono tego z wielką starannością i przepychem, kiedy dla przejeżdżającéj Cecylji Renaty córki cesarza Ferdynanda II, a narzeczonéj Władysława IV w nim roku 1637 przeznaczono chwilowy wypoczynek. Władysław wprawdzie miał zamiar żenienia się z Wojewodzianką Reńską, ale różność wyznania głównie stanęła temu na przeszkodzie, gdy zaś przeciw małżeństwu z rodaczką oświadczyły się Stany, zgodzono się wreszcie na Cecylję Renatę, do czego zabiegi domu rakuzkiego wielce się przyczyniły. Władysław niepokojony chęcią poznania jak najprędzéj pięknéj narzeczonéj o któréj mu wiele dobrego opowiadano, nie czekając urzędowego w Warszawie przyjęcia, dnia 6 Września 1637 roku, skrycie przybył do zamku Iłżyckiego razem z dygnitarzami wysłanemi dla powitania w imieniu jego, przyszłéj królowéj. Nie ma wąpliwości, że tajemnica ta znowu tajemnie pięknéj Cecylji wydaną została, bo według piśmiennych relacji, gdy Władysław przedstawiony jako prywatna osoba, ujęty wdziękiem młodéj księżniczki, w chwili pokłonu ścisnął ją za rękę, Cecylja zsunęła się ku kolanom królewskim, i za oznakę miłości, hołdem dziękczynnym odpowiedziała. Władysław zdarzeniem tem niezmiernie uszczęśliwiony, wesołością swą ożywił wszystkich; w obszernych komnatach biskupich zawrzało życie niezgodne z ciszą i powagą zwykle w nich panującą; wystawna wieczerza wreszcie zakończyła zabawę, po któréj król wrócił zaraz do Stolicy. W siedm lat potem całun pogrzebowy okrył już zwłoki pięknéj Cecylji, która w dniu 24 Marca 1644 roku z wielką boleścią króla, rozstała się z tym światem. Była to pani niezmiernie łagodnego usposobienia, cicha, spokojna, nie mięszająca się w żadne publiczne sprawy, i wielkim taktem w postępowaniu umiejąca sobie jednać wszystkich miłość i przywiązanie.

Na tem kończą się wspomnienia historyczne o samym zamku, w innych wypadkach choć brał udział, ale te więcéj samego miasta dotyczą, i o tych następnie pomówię. Zimową porą zwykle zamek w czasach swéj świetności, otaczał się ciszą, zakłócaną tylko czasami wesołą drużyną myśliwych, chętnie korzystających z otaczających go lasów pełnych grubego i drapieżnego zwierza. Dziś jeszcze gnieżdżą się w nim wilcy, a i z jeleniem czasami można się spotkać. W lecie zato przybycie biskupa, rozbudzało zamek z zimowego uśpienia, sprowadzano muzykę, odczyszczano zardzewiałe szmigownice osadzone w murach, i co ranek muzyka z wieży witała wschodzące słońce, a wystrzały żegnały jego zachód. Między wieżami mieściła się kaplica, tak urządzona, że odprawiane w niéj nabożeństwo mogło być widziane z miasta. Gdy biskup obrządek święty sprawował, lud gromadził się w rynku i klęczący słuchał nabożeństwa.

Po przyłączeniu w r. 1788 dóbr biskupich do dochodów skarbowych, klucz Iłżycki wypuszczony został w dzieżawę. Dzierżawcy wprawdzie go zamieszkiwali, ale zajmowali tylko oficyny, a reszta zaniedbana szła w ruinę i rozsypkę. Dziś z zamku tego stoją tylko szczątki, nawet znikły gruzy, murawa zaściela wnętrze, dzikie zielska, badylska i pokrzywy wyglądają z każdego zakątka, a nad wszystkiem panuje grobowa cisza, niemy świadek znikomości ziemskiéj.

(d. n.)

---

*
* *

Są ludzie tak szczęśliwi, że umieją szeroko, długo, obszernie a nawet dosyć znośnie pisać o niczem. Za te powietrzne słówka, ustawiające się rzędem jak marjonetki; za te pobłyski choćby wymuszonego dowcipu pukające jak korki od szampańskiego wina, za te puchowéj lekkości obrazki, puste jak balon a błyszczące szatą niby brylantową; za to wreszcie sypanie jakby z rękawa, gimnastycznych łamańców myśli, z brzękiem arlekińskich dzwonków zręcznością cyrkowego pajaca, a uśmiechem wykokowanéj i wymalowanéj piękności, dałbym choćby konia z rzędem, a przedewszystkiem szpony wszystkich elegantek i elegantów Warszawskich, których kultura, jakoś coraz się pomyślniéj rozwija. Dawniéj mówiono: długie włosy, krótki rozum, i był to koncept zapewne wycedzony z głowy skwaszonéj samotnem życiem, o pomarszczonéj twarzy i pomiętéj w esy, floresy niby zeschnięta łupina po pięknem i rumianem jabłku; poszanowanie bowiem niewiast naszych, cześć jaką były otoczone od młodéj dzieweczki do poważnéj matrony, znana jest powszechnie i nie potrzebuje dowodzenia. Dziś zdanie to możnaby zastosować do długich paznokci i dalipan nie byłoby w tem najmniejszéj przesady. Szponowate bowiem takie uzbrojenie delikatnéj rączki, ubezwładnia ją we wszelkiéj czynności co się nazywa pracą, a czyż może

być co bardziéj wstrętnego, jak jawne pomiatanie tem, co człowieka uzacnia i uszlachetnia.

Główka zadumana, rozmarzona, przy postaci wydmuchanéj, wychuchanéj, wiotkiéj, leciuchnéj; milutki to i piękny obrazek, ale zdaleka, wpół cieniu, bo jeżeli duszy w niém nie ma, jeżeli serce odbywa tylko funkcje żywotne, to go można z zajęciem obejrzyć, nawet zachwycić się i podziwić, ale kupić...? nigdy! Gdzie zaś szpon paznokciowy, tak ważną odgrywa rolę, gdzie się ma tyle czasu i cierpliwości na jego hodowlę i pielęgnowanie, gdzie tak długo można się przykuwać do upiększania rzeczy tak błachéj, czyż tam może myśl szlachetna wzbijać się do lotu, choćby na skrzydełkach drobnéj ptaszyny?

Porzućcie więc tę wstrętną ozdobę, jeżeli ją można tak uważać, a uciekajcie za dziesiątą granicę przed każdym młodym i starszym uszponowanym jegomością, bo to z pewnością zera w ludzkości, chwasty, zielska i pokrzywy.

Tetryctwo moje być może że się Wam nie spodoba, że Janka z Bielca nazwiecie marudą i nieznośnym nudziarzem, ale przecie mam pisać o niczem, zera więc dzisiaj do mego wydziału należą. Pysznym, zarozumiałym... a czy wiecie od czego ten ostatni wyraz pochodzi? Oto zarozumiały jest *po za rozumem*, czyli że nie ma rozumu, a takim milczenie najwłaściwszą jest odpowiedzią.

Brnąc daléj w tym traktacie o niczem, przyszedł mi do myśli, wypadek jednego wymownego kaznodziei, który przyrzekł powiedzieć naukę na zadanie, jakie mu dopiero na ambonie doręczone zostanie. Wsunięta nieznacznie kartka była pustą, przytomny jednak kaznodzieja nie zmięszał się, i owe *nic* jakie znalazł na karteczce, podniósł, rozwinął, dowodząc, że *nic*, tylko dla ludzi jest niczem, bo Bóg z niczego świat cały stworzył, wszystkie słońca, gwiazdy i księżyce; gdy człowiek z niczego, najmniejszego pyłeczku zrobić nie potrafi. Z tąd poszła dalsza nauka, pełna najwznioślejszych myśli, rad zbawiennych, na tryumf własny a podziw słuchaczy.

Pozbawiony tego daru, muszę w dalszéj pogadance ratować się wiadomostkami bardzo powszedniemi i zwyczajnemi, ale czem chata bogata tem rada. Otóż przedewszystkiem przebyliśmy dzień pierwszy kwietnia, w którym jak zwykle zwiedzionych więcéj było jak zwodzących. Rozpoczęły się także wykłady naukowe w salach redutowych, a chociaż żółciowo-octowego usposobienia, tłumne zbieranie słuchaczy, przypisują modzie, moda to jednak zacna i szlachetna.

Koncert na korzyść zasłużonego artysty Józefa Nowakowskiego powiódł się najzupełniéj. Bilety rozprzedano wszystkie i w sali redutowéj ani kawałeczka niezajętego miejsca nie pozostało. Inne koncerta nie mogły się pochlubić podobnem współczuciem i zajęciem, a na wszystkich nawet odczytach naukowych, znajdowali się tak niedelikatni, niegrzeczni lekceważący i cel zebrania i publiczność, że wchodzeniem spóźnionem a wyjściem przedwczesnem, hałas robili jak w przedpokoju. Ponieważ na podobnych jegomościów nic a nic nie wpływają, tyloliczne odezwy w pismach perjodycznych, uważałbym za właściwe, aby służba do przyjmowania biletów przeznaczona, odebrała rozkaz nie wpuszczania spóźniających się, podczas przedstawienia, tylko dopiero w między aktach, lub po ukończeniu numeru na koncertach.

W cyrku Hinego zawsze *wielkie przedstawienie* i wielkie zebranie: olbrzym czterołokciowy ma dużo widzów przed wystawą, ale i na zwiedzających go za pieniądze, podobno nie brakuje. Okaz to po owym pamiętnym wole pierwsze zajmuje miejsce. Na Foksalu afisz przedstawiający człowieka bez głowy na karku, tylko trzymaną w rękach jak główkę kapusty, zwabiać ma dosyć widzów codziennie, za nader skromne bo tylko co łaska wynagrodzenie. Wreszcie Kwiecień po pluskach i śniegach Marcowych zajaśniał pogodą, darząc nadzieją rozpoczęcia prac rolniczych i chóralnych śpiewów ptasząt w polu, który łącząc się z wrzawą pracującéj rzeszy, tworzy prawdziwy koncert nad koncertami. Szczęść zatem Boże poczciwéj pracy, i oby setny plon wynadgrodził trud gospodarczego mozołu.

Rozmaitości gospodarsko-techniczne do domowego użytku.

---

1. *Regulator do lamp gazowych.* Wiadomo iż lampy gazowe przy dzisiejszéj ich konstrukcji bardzo nie regularnie się palą, gdyż siła z jaką gaz wypływa do płomienia, należy nie tylko od odkręcenia kurka lecz i od ciśnienia jakie gazometr fabryczny lub miejscowy (gasuhr) wywiera. Tym sposobem traci się najmniéj 10 % gazu, przy nagłem a bezpotrzebnem powiększaniu się płomienia. Dla zaradzenia temu wynaleziono w Niemczech bardzo dowcipny regulator którego zastosowanie do każdéj lampy gazowéj, o kilku płomieniach jest możliwe, a użycie bardzo dogodne. Przyrządu tego bez odpowiedniego rysunku trudno nam szczegółowo opisywać, cały zaś aparacik zasadza się na ujednostajnieniu ciśnienia gazu. Wypróbowany ten wynalazek wszedł w powszechne użycie w Niemczech a do nas sprowadzony został z zagranicy i znajduje się w sklepie lamp p. Sandeckiego przy ulicy Miodowéj gdzie sprzedaje się po złp. 6 gr. 20 za sztukę.

2. *Krochmal stearynowany do bielizny.* Fabrykant Warszawski Schreder posiadający swój zakład przerobów z mąki przy ulicy Marszałkowskiéj w domu Marenża, zaczął wyrabiać tak nazwany krochmal stearynowany do bielizny. Produkt ten jest zwykłym krochmalem z dodatkiem blisko 10°/₀ stearyny. Nadaje on bieliźnie wielką białość, równość, gdyż stearyna rozprowadza mączkę po całéj powierzchni. Nie należy się jednak lękać zepsucia stearyną bielizny, gdyż przy praniu ciało to zmydla się i przyczynia się jeszcze do lepszego wyprania, i zmniejszenia ilości mydła. Bielizna tym krochmalem zaprawiona po uprasowaniu jest gładka dość sztywna a jednak nie łamie się, nie wyciera i niekruszy, jak przy zwykłym krochmalu nadmiarę nieco użytym.

Kronika literacka.

Dziecinne ogrody, nowa metoda wychowania i nauczania Fryderyka Troebla tłumaczyła Ksawera Kuwiczyńska. Drezno nakładem Autorki 1864 r.

Jakkolwiek praca ta nie jest oryginalną ale tłumaczoną z francuzkiéj broszurki o metodzie Troebla, to przecież najusilniéj ją polecamy wszystkim matkom polskim, wszystkim nauczycielkom i ochmistrzyniom. Chociażby bowiem metoda Troebla nie zaraz się urzeczywistniła w zakładaniu ogrodów specjalnie dla dzieci poświęconych, co mówiąc nawiasem w tak wielkim mieście jak Warszawa można by z łatwością uskutecznić, to przecież nasunie ona wiele uwag i różnych praktycznych środków wychowania i rozwijania dzieci, dających się wprowadzić wszędzie w zastosowanie. Nie przestaniem zaś dowodzić iż wszystko co uczyniemy dla dzieci, dla rozwinięcia ich duszy i ciała znajdzie sowitą zapłatę w ulepszeniu przyszłych pokoleń. Lecz na przód powiedzmy kto był Troebel? Był to człowiek który niepospolite zdolności poświęcił tylko badaniu i ulepszaniu wychowaniu dzieci. Ubogi nauczyciel odmawiający sobie koniecznych potrzeb, aby tylko urzeczywistnić myśli w które wierzył, którym całą inteligencją poświęcił. Taki charakter jest pewną miarą wartości wynalezionéj metody, która polega na tem, aby za pośrednictwem zabawy i rozmowy z dziećmi rozwijać władze duszy i siły ich ciała. Do tego używa rozmaitych dowcipnie zastosowanych gier, zajęć, przedmiotów z któremi łączy śpiew i deklamację wszystko to tłumaczące. Za miejsce zaś najwłaściwsze do wykonania tego uważa nie zamkniętą szkołę, ale otwarty ogród gdzie świeże powietrze krzepi zdrowie i dzieci, wskazane jego metodą prace wykonywać mogą pod przewodnictwem dobrze ukształconéj ku temu ochmistrzyni. Powtarzamy raz jeszcze iż chociaż nie całkowicie zastosowana metoda Troebla, każdéj matce polskiéj dostarczyć może obfitych środków i sposobów wyprobowanych bawienia i kształcenia zarazem dzieci. Więc książeczka pani Kuwiczyńskiéj w każdem ręku rozsądnéj niewiasty znaleść się powinna. Dostać jéj można w Księgarni Gebethnera i Wolffa po cenie złp. 2 gr. 20.

TROSKLIWOŚĆ KOCHANKI.

(Serbska piosenka).

Piosnka na usta się ciśnie
Naumyślnie, naumyślnie!
A ja nie mogę dziś śpiewać,
Janka mego głowa boli,
Mógłby na mnie się pogniewać,
Żem wesoła, gdy on chory!
Chociaż śpiewać jest ochota,
To nic z tego, to nic z tego,
Idźże sobie piosnko złota
Nie chcę gniewać ja miłego.
Piosnka na usta się ciśnie
Naumyślnie, naumyślnie!
O! bo kocham go nad życie,
Wszędy obraz jego noszę,
W sercu na dnie chowam skrycie
Idźże sobie piosnko proszę
Może Janek nie posłyszy...
Może usnął... śpiewać będę,
Ach! tak cicho, coraz ciszéj,
Tam nad wodą sobie siędę.
Piosnka na usta się ciśnie
„Naumyslnie, naumyślnie!
„Śpiewajcie mi drzewa,
Śpiewajże mi wodo!
Wszystko niech mi śpiewa
Szczęściem i swobodą!
Nie gniewaj się Janku,
Nie mów żem ja płocha.“
Nikt cię tak nie kocha,
Jako ja kochanku,
Nie mów że: nie czuję
Kiedy ciebie boli.“

O! ja cię żałuję,
Śpiewam mimo woli...
Piosnka na usta się ciśnie
Naumyślnie, naumyślnie!"

Liljana.

Nietulisko dnia 12 Września 1864 r.

Nowości Zagraniczne.

Petit courrier des dames. W ubraniu tegorocznem pojawiła się zupełna nowość. Jest to obcisły kaftanik w miejsce stanika, noszą go zarówno wycięty jak i pod szyję, stosownie do rodzaju ubrania. Kaftanik ten nie ma fałdów, lecz kraje się kulisto; obciska biodra, i przypłaszczca spódnicę w górze.

Równa zmiana zaszła w układzie włosów. Warkocz podnoszą znacznie więcéj w górę niż dotąd, tak że grzebień wpina się w miejscu gdzie włosy rozdzielone, krótkie loczki spadają czasami od warkocza, lecz zaledwie że dochodzą do szyi.

Przód głowy ubierają rozmaicie. Czasami drobne loczki nad czołem stanowią całe ubranie. Inne osoby noszą nioby karbowane w grube karby i nad niemi przechodzący warkocz *en diadème*. W warkocz ten wpinają gdzie niegdzie po parę maleńkich loczków na drucikach.

Zamiast ubiorków na głowę, przyjęto dziś powszechnie opaskę z aksamitki, długą blisko na trzy łokcie naszytą paciorkami, która trzy razy otacza głowę. Raz przechodzi zaraz nad czołem, drugi raz nieco daléj, trzeci raz w około warkocza w tyle głowy. Opaska ta zwana *bandelette* może być w różnych kolorach, najczęściéj wszakże bywa czarna aksamitna, naszyta rozmaicie: paciorkami z lawy, białą sieczką, stalkami, koralami lub bursztynami. Do strojniejszego ubrania można ją też naszyć drobnemi kwiatkami, naprzykład rzędem stokrotek, fijołków, aurykli lub pączków róży. Opaska ta miejscami niknie wpośród włosów; naprzykład nioby odwracają się na nią. Osoby które noszą koronę z włosów nad czołem, przeciągają przez nią téż opaskę; słowem można ją zastosować, do wszelkiego rodzaju ubrania głowy.

Na letnie suknie przyjęty będzie powszechnie fular biały, w paski fijołkowe, czarne lub szafirowe w odstępach. Im pasek szerszy, tym odstęp więcéj oddalony. Szerokość pasków bywa rozmaita, niekiedy są cienkie jak włos, niekiedy znów grube na palec. Widzieliśmy taką suknię białą w ciemno-fijołkowe paski. U dołu nie miała żadnego garnirunku. Miejsce stanika zastępował kaftanik obcisły, obłożony materją fijołkową, spięty na fijołkowe szmuklerskie guziki.

Uważaliśmy też ładną suknię jedwabną koloru hawanna, w czarny rzucik. U dołu nie miała żadnego garnirunku. Kaftaniczek przybrany był czarną gipiurą, spięty na czarne guziki. Rękawy obcisłe, miały podobny mankiet i epolet.

Inna znów suknia, czarna mantynowa, z przodu ubrana była aksamitką, naszytą małemi guziczkami stalowemi, wielkości grochu. Stanik i rękawy, podobnież były ozdobione pasek aksamitny naszyty podobnemiż guziczkami, ładnie odpowiadał całości.

Z pomiędzy kapeluszy zwrócił naszą uwagę jedwabny popielaty, w kształcie maleńkiéj przymarszczonéj chusteczki. Bufka szafirowa jedwabna, tworzyła rondo, druga takaż bufka, spadała z tyłu na warkocz. Szarfy szafirowe, i podpięcie z szafirowych aurykli dopełniało przybrania.

Suknia z paletocikiem krótkim, powszechnie będzie przyjętą na ulicę. Najwięcéj daje się widzieć sukien w kolorach popielatym, fijołkowym i lilla, niekiedy w drobne czarne paseczki. Staniki pod szyję z baskiną ogólnie używane do pokoju; wiele osób jednak przekłada suknię z okrągłym stanikiem i paskiem. Często od paska spadają dwie długie szarfy, z tyłu, z boku lub na przodzie, stosownie do woli. W miejscu gdzie się pasek spina, dana jest rozetka ze wstążki. Najmodniejsze szarfy powinny być podbite marseliną w kolorze odmiennym od sukni. Do czarnéj naprzykład sukni mantynowéj, szarfa może mieć podszewkę karmazynową, fijołkową, lub *maïs*. Frendzla u dołu szarfy ma być czarna mięszana z takim kolorem jak podbicie.

Do ozdoby wielu sukien szczególniéj czarnych, używają pasmanterji ze stalą.

Obok nowych kapeluszy zwanych *chapeaux empire*, z odmienną cokolwiek główką, fanszoniki powszechnie jeszcze używane. Tak krepowe jak i słomkowe będą ubierać liśćmi srebrnemi, stalowemi, lub też naszytemi czarną lawą. Zamiast gładkich wstążek, używane będą fantastyczne przerabiane w deseń.

Z pomiędzy sukien z krótkiemi paletocikami, widzieliśmy czarną *poult de soie*, z grubym u dołu sznurem, przetykanym perełkami z lawy. Nad nim szła ruszka wycinana w maszynie. Każdy fałdek przytwierdzony był perełką wielkości grochu. Paletocik podobnież przybrany dopełniał całości.

Staniki z baskiną coraz bardziéj wchodzą w modę:

baskina idzie zwykle od boków do tyłu, przód stanika ścięty bywa zupełnie bez paska ani bawetu.

Do najmodniejszych wyrobów na wiosenne suknie, należy pekin jedwabny w jasno szafirowe i czarne paski. Widzieliśmy taką suknię z wązką falbaneczką u dołu, wystrzyganą w maszynie. Bardzo krótki paletocik, ogarnirowany był ruszką. Suknie fularowe robią w takiż sam sposób, z tąróżnicą że ruszka powinna być odmienna, z lekkiéj materji gładkiéj, zastosowanéj do deseniu. Suknie naprzykład białe fularowe w czarne, fijołkowe lub szafirowe paski powinny mieć odpowiednią ruszkę. Wiele też uważaliśmy fularów w drobny rzucik na tle białym. Ukazały się także między innemi suknie fularowe z odpasowanym szlakiem: białe z szafirowym, fijołkowe z czarnym. Szlak ma blisko pół łokcia szerokości, u góry tworzy zęby, u dołu zakończony bywa brzeżkiem w guście perskim. Suknie takie robią nieodcinane w stanie, w formie gabrjeli.

Kapelusze popielate krepowe najmodniejsze będą tego lata. Niektóre zdobią małem piórkiem tegoż koloru. Woalik czarny naszywany stalowemi paciorkami ładnie odpowiada przy takim kapeluszu.

Pończochy kolorowe ciągłéj używają wziętości, najwięcéj noszą gładkich takiego samego koloru jak suknia.

Le Follet. Suknie z paskami utrzymują się ciągle, paski te naszywają perełkami z lawy lub stali, niektóre są całkiem z pasmanterji przetykane lawą.

Rękawy zawsze noszą wązkie ścięte do łokcia. Do małego nawet ubrania na lato będą przyjęte suknie wycięte z krótkiemi rękawami, pod które ma iść biała koszulka muślinowa. Będą też kłaść na wierzch wyciętego stanika, czarny koronkowy kaftaniczek.

Krynolina utrzymała się taka sama jak w roku zeszłym, płaska od stanu, mocno rozszerzona w dole, cokolwiek przedłużona z tyłu. Krynoliny do strojnego ubrania, mogą mieć większe przedłużenie, lecz do wyjścia na ulicę, nie powinny dotykać ziemi.

Spódniczki pod suknie lekkie wełniane, przybierane w rozmaity sposób, używane też będą, równie jak w roku zeszłym.

Paletociki zwłaszcza na rano, będą nadzwyczaj krótkie, zawsze z tego samego materjału jak spódnica.

Kapelusze jeszcze się bardziéj zmniejszyły. Są to maleńkie fanszoniki, z mantyny, krepy lub słomki, przybrane z tyłu szeroką koronką spadającą na warkocz. Krepowe i słomkowe naszywają stalowemi paciorkami.

Moda Grecka zdaje się coraz bardziéj upowszechniać. Widziemy już potrójne opaski otaczające głowę, jak na starożytnych greckich posągach, widziemy kaftaniki greckie naszywane pasmanterją i stalą, zapowiadają nam także staniki greckie do sukien, wycięte, układane w fałdy, na wzór starożytnych tunik. Pod taki stanik, koszulka muszlinowa będzie stanowić konieczne dopełnienie.

Przytaczamy tu kilka całkowitych ubiorów dziecinnych.

Ubranie trzyletniego chłopczyka. Sukienka z alpagi w kolorze niewarowym, spięta na rząd szafirowych szmuklerskich guzików. Kołnierzyk wyłożony szafirowy i takież mankiety u rękawów, w pasie przewiązana z boku szarfa dość szeroka, z końcami z takąż frendzlą. Szarfa i wyłogi mogą być z szafirowego kaszmiru lub *monsseline de laine.* Majteczki białe, pończoszki w białe i szafirowe paski, buciki szafirowe dopełniają ubrania.

Ubranie sześcioletniego chłopczyka. Kaftanik i majtki krótkie, szerokie, kaftanik otwarty, pod spód kamizeleczka biała pikowa, dosyć długa, spięta na guziki. Buciki czarne skórzane, pończoszki białe.

Ubranie siedmioletniéj dziewczynki. Spódniczka szara fularowa, naszyta u dołu szafirową pletnią w deseń, pasek wyszyty odpowiednio. W miejscu stanika koszulka biała muślinowa spięta z przodu na guziki, po każdéj stronie dwie wstawki haftowane, podwleczone szafirową wstążeczką. Rękawki złożone z pięciu bufek, przepinanych wstawkami. Siateczka na głowę, koloru blond związana z boku na szafirową kokardkę.

Ubranie ośmioletniéj dziewczynki. Sukienka z alpagi koloru hawanna w czarną cienką krateczkę, naszyta u dołu trzema rzędami czarnéj aksamitki. Kaftanik otwarty i zaokrąglony, z małem karoczkiem w tyle, obszyty aksamitką u ręki i w koło pachy. Pod spód kamizelka biała pikowa, długa z roztwartym bawetem i kieszonkami po bokach. Kołnierzyczek płócienny mały wyłożony, u rękawków takiż prosty mankiecik. Włosy splecione na dwa warkocze okręcone w koło głowy.

Ubranie dziesięcioletniéj dziewczynki. Sukienka z lekkiéj tkaniny wełnianéj *(cretonne)* fijołkowa z białem. U dołu falbanka, fałdowana w odstępach, objęta z obu stron pletnią fijołkową, każdy fałd przytwierdzony guzikiem. Stanik gładki pod szyję. przybrany takiemiż szelkami, przepasany paskiem, z dwoma szarfami, spadającemi na tył sukni. U dołu szarfy zakończone frendzlą. (Zamiast stanika może być koszulka muszlinowa biała). Dopełniają ubrania buciki fijołkowe prunelowe, i kapelusik okrągły słomkowy z fijołkowem piórkiem. Włosy skręcone w tyle głowy, ujęte w siatkę niewidzialną koloru włosów.

Opis ryciny.

Figura 1. Suknia aksamitna okładana futrem. Mały paletocik taki sam. Pod spód kamizelka czarna atłasowa spięta na guziki. Kapelusz z tiulu jedwabnego. W miejscu karczka frendzla z piór. Końce aksamitne czarne. Suknia ta może być także popielata lub fijołkowa aksamitna, zamiast futra obłożona potrójną plisą aksamitną lub *poult de soie* czarną.

Figura 2. Suknia jedwabna popielata, w formie gabrjeli, nieodcinanéj w stanie, z tyłu i po bokach spada baskina, oznaczona pasmanterją podobną do sznuru paciorków (taką pasmanterję zowią *chapelet*). U dołu baskiny frendzla sznelowa. Kapelusz atłasowy z rondem przymarszczanem, główka z koronki. Ubranie i szarfy ze wstążki aksamitnéj.

KORRESPONDENCJA.

Pani Mar. Karłow. w S. Do sprawunku przesłanego przez furmana dołożyliśmy złp. 1 gr. 10. — Pani Marji K. Suknia z materjału tego, jaki nam został przysłany w próbce, może być zrobiona z bluzką. Rękawy robią paltotowe lub marszczone i wszyte w mankiet szeroki. Ubranie najwłaściwsze będzie z wązkiéj koroneczki, aksamitki lub pasmanterji.—Pani Amelji hr. Wa. w Tu. Funt filozeli czarnéj kosztuje złp. 86 gr. 20 karmazynowéj złp. 120 szafirowej złp. 113 gr. 10 różowéj złp. 120 i złotego koloru złp. 100.—Pani Bronisławie Wa. Prosiemy o miarę objętości szyi, bo inaczéj niedobierzemy dokładnie długości kołnierzyków. Miarę wziąść trzeba z kołnierzyka dogodnie leżącego. — Pani Jadwidze Gra. Czy to mają być czepeczki do wiązania pod brodą, czy ubranka dla młodszéj osoby? Jak włosy nosi czy blondynka lub brunetka? — Pani Adeli V. Formę bluzki w krótce umieściémy w Tygodniku. Wyszywają się one rozmaicie: aksamitką, sznurkiem jedwabnym lub galonkiem tureckim z koroneczką czarną zupełnie gładko we trzy rzędy. Mankiet odznacza się tylko na rękawie. Wyroby wełniane noszone są najwięcéj w kolorze szarym, fijołkowym, szafirowym i hawanna, dostać ich można od złp. 3 do złp. 8. Suknie fularowe przyozdobić można aksamitką albo plisami fijołkowemi.—Pani Omie. w Nie. Wszystkie ubranka na głowę które wymieniono w liście, kosztować będą po złp. 33 gr. 10. Rotonda z czarnego kaszmiru na jedwabnéj podszewce złp. 130, pół chustki koronkowéj od złp. 100 do 220, obszyta falbaną gipiurową dochodzi do złp. 320, tuzin guzików z konchy perłowéj do sukien od złp. 10 do złp. 13 gr. 10, guziki lawowe po złp. 4 tuzin, łokieć galonu perskiego złp. 1 gr. 10 i złp. 1.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się rycina Paryzka.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

14



Gilquin fils Imp r. des Fossés St J. Paris.

3434

TYGODNIK MÓD
w Warszawie

Dodatek do Nru 14 Tygodnika Mód

Warszawa dnia 27 Marca / 8 Kwietnia *1865 roku.*

JOANNA EYRE

POWIEŚĆ

PANNY BRONTE (CURRER BELL)

Z ANGIELSKIEGO.

(*Dalszy ciąg.*)

— Prawią o wrodzonych współczuciach, o duchach opiekuńczych... bywa zawsze trochę prawdy w każdéj bajce... Dobranoc, rzekł wreszcie, zwracając się ku mnie, dobranoc, tobie pani winienem moje ocalenie.

Wymówił to dziwnie dźwięcznym głosem, a w oczach jego błyszczał płomień niezwykłego uczucia.

— Cieszę się tylko, rzekłam, że nie zasnęłam tego wieczoru tak wcześnie jak codzień.

I postąpiłam nieco ku drzwiom.

— Odchodzisz więc?

— Zimno mi się zrobiło, chcę się ogrzać.

— Zimno!... a prawda, masz także nogi zmoczone. Idź więc, idź...

Wróciwszy do siebie, położyłam się, ale nie mogłam już zasnąć téj nocy. Radość moja była jakby rozkołysane morze po którém bujałam, przeczuwając jednak bliską burzę. Czasem, powiew nadziei unosił mię ku kwiecistym brzegom, które dostrzegłam po za wierzchołkami bałwanów. Niekiedy znowu, zimny wicher odpychał mnie albo porywały szalone marzenia gorączkowéj wyobraźni... Noc była okropną i na krótko starczyłoby życie, gdyby często pojawiały się podobne chwile.

Usłyszawszy z rana hałas w pokoju pana Rochestera, gdzie służący rozprawiali przy sprzątaniu o wypadkach zaszłych w nocy, weszłam tam, niby niewiedząc o niczém, zapytać co znaczy ów ruch niezwykły, ale udane moje zdziwienie stało się najzupełniéj szczerém, kiedy ujrzałam w tym pokoju Gracyę Poole zajętą zakładaniem nowych firanek. Widząc tę kobiétę zupełnie swobodną, natém samém miejscu gdzie przed kilku godzinami usiłowała popełnić tak ohydną zbrodnię, stanęłam na progu jak wryta, zadając sobie w myśli pytania na które nie umiałam znaleść odpowiedzi.

Tymczasem Gracya, podniosłszy oczy od roboty, ujrzała mię, i nie zmięszana bynajmniéj, powiedziała, jak zwykle dzień dobry, poczém nawlekła spokojnie nową nitkę i zabrała się znowu do pracy. Skoro przyszłam nieco do siebie z piérwszego zdumienia, postanowiłam wybadać tę bezczelną kobiétę.

— Dzień dobry, Gracyo, rzekłam, cóż się tu stało téj nocy?

— Nic wielkiego, pani. Oto po prostu, pan zasnął czytając i zostawił świécę zapaloną. Firanki się zajęły, szczęście że się pan obudził w porę i ogień przygasił.

— Dziwne to doprawdy zdarzenie, rzekłam z cicha z przyciskiem, patrząc jéj w oczy. Jakto? więc pan nie obudził nikogo? nikt nie słyszał hałasu w jego pokoju?

Podniosła oczy na mnie, i tą razą zdało mi się że ona chce odgadnąć, powód tego zapytania.

— Słudzy sypiają w innéj części domu, jak pani wiadomo, rzekła po chwili. Pani Fairfax zaś śpi twardo, a do tego trochę niedosłyszy, zwyczajnie jak bywa w jéj wieku... Ale pani co taka młoda i pewnie śpi jak ptaszek na gałęzi, czyż może być żeby nic nie słyszała?

— Nic wcale nie słyszałam, odpowiedziałam, mówiąc jeszcze ciszéj, oprócz tylko śmiechu takiego jakich się mało słyszy.

Gracya nawlekła znowu igłę z najzimniejszą krwią i rzekła.

— Czyżby się pan mógł śmiać wtedy kiedy był w takim niebezpieczeństwie? musiało się przyśnić chyba pannie Joannie.

— O! nie był to sen wcale, odpowiedziałam z przyciskiem.

Spojrzała na mnie z pod oka i zapytała.

— Czy pani wspominała panu o tém śmiechu?

— Nie widziałam się z nim jeszcze dzisiaj.

— A nie wyjrzała téż wtedy pani na kurytarz?

Wyraźnie, chciała mnie zbadać, postanowiłam więc być ostrożną, lękając się jéj przewrotności.

— Przeciwnie, rzekłam, zamknęłam drzwi na klucz.

— Więc ich pani nie zamyka co wieczór?

— Niegodziwa, pomyślałam, chce być pewniejsza swego na drugi raz.

— Nie, odpowiedziałam, ale odtąd będę uważniejszą...

— I dobrze pani zrobi, odpowiedziała krótko.

Kiedy to mówiła wszedł kucharz z którym poczęła rozmawiać jak najobojętniéj o śniadaniu.

Odeszłam tedy i udałam się do pani Fairfax czekającą już na mnie z herbatą.

Najrozmaitsze domysły krzyżowały mi się po głowie. Jakiż powód tajemniczy wstrzymywał pana Rochestera od wydania Gracyi w ręce sprawiedliwości? Czemuż przynajmniéj nie oddalił z domu istoty od któréj miał prawo wszystkiego się lękać? I dla jakiéj przyczyny ta kobiéta ścigała go tak nieubłaganą nienawiścią?

Wszystkie te zagadki były nie do rozwiązania. Ciekawość doprowadzała do najdziwaczniejszych przypuszczeń, i dzień cały przeszedł mi na ciągłych rozmyślaniach. Przedewszystkiem jednak pragnęłam koniecznie rozmowy z panem Rochesterem, sądząc że nie potrafi nic zataić przedemną, odkąd nabyłam tyle praw do jego zaufania a może i do czegoś więcéj jeszcze. Czekałam tedy niecierpliwie wieczoru. Nadszedł nareszcie, Adela poszła się położyć, była to godzina w której zwykle dawał się słyszéć z bawialnego pokoju odgłos dzwonka, zapowiadający że wejdzie niebawem Leah, i zawezwie mię do pana. Tą razą jednak, panującéj ciszy nic nie przerywało, do tego uważałam że przez cały dzień nie zasłyszałam w domu głosu ani kroków pana Rochester.

Zjawiła się przecie Leah nareszcie, ale tylko po to aby mię prosić na herbatę do pani Fairfax.

— Chodź no, moje dziecię, zawołała poczciwa staruszka, skoro mię ujrzała, zapewne chcesz się już napić herbaty, boś nic nie jadła u stołu? Siadaj tu bliżéj.., może ci zimno przy oknie? Chociaż co prawda, mamy śliczną pogodę... dobry téż dzień sobie pan wybrał.

— Alboż gdzie pojechał?

— Wybrał się zaraz po śniadaniu do państwa Eshton, o dziesięć mil od Millcote.

— Czy się go pani spodziewa dziś wieczór?

— Ani dziś, ani jutro, zejdzie mu tam jak nic z parę tygodni. Ale bo téż, bawią się wybornie u państwa Eshton... Są tam piękne panny, Bianka i Marya Ingram, a szczególniéj starsza, Bianka, od któréj pan Rochester nie rad odjeżdża.

VIII.

Nie było tedy wątpliwości, — znajdowała się o dziesięć mil od Thornfieldu, osoba piękna, powabna, zajmująca w towarzystwie świetne stanowisko, a zarazem będąca ze względu wieku całkiem dobraną towarzyszką dla pana Rochestera.

Nie domyślając się bynajmniéj bólu jaki mi sprawiała, pani Fairfax opisywała mi szczegółowo Biankę Ingram, jéj postać okazałą, śnieżne ramiona, duże czarne oczy, i głos pełen wdzięku. Rozpowiadała mi że przed kilku laty, pani Ingram odwiedzała już raz Thornfield-Hall z córkami, że pan Rochester śpiewał często duetta z Bianką, że oboje zdają się być dla siebie stworzeni. Słowem, wpadłszy na ten przedmiot, nie opuściła go przez ciąg całego wieczoru.

Słuchając jéj, jakże gorzkie czyniłam sobie wyrzuty! z jakąż pogardą patrzałam teraz na szalone nadzieje rozbujałéj mojéj wyobraźni! Mogłażem ja, com nie miała, ani urodzenia, ani dostatków, ani żadnego uroku coby wynadgradzał brak piękności, ja biédna, licha, nauczycielka, mogłażem sobie marzyć że podbiłam serce tego człowieka, z którym smutne moje przeznaczenie wiązało mię stosunkami li-tylko pieniężnemi?

Takiemi były w téj chwili moje myśli a im bardziéj się we mnie rozwijały, tém mniéj czułam litości dla bezrozumnych moich złudzeń. I tak, téj samej godziny, postanowiłam za piérwszą karę, wziąść się do pendzla aby skreślić obraz Bianki Ingram, takiéj jaką mi została przedstawioną przez panią Fairfax. Chciałam powiem porównywać co chwila tę świetną i idealną postać, z moją twarzą bez wdzięku, bladą, ponurą, a to na ukaranie mojéj zarozumiałości i zabezpieczenia się na przyszłość, od szalonych i przesadnych nadziei.

Dokonałam téj ciężkiéj pracy, zajęła mi ona dni kilkanaście, ale przyniosła spodziewany skutek. Po upływie tego czasu, znalazłam się znacznie uspokojoną, a poznawszy dokładnie przestrzeń jaka mię dzieliła od właściciela Thornfieldu, postanowiłam stale nie rzucać na stracone uczucia nadto wielkiego i świętego, aby mogło być narażone na lekceważenie. Przytém postanowiłam opuścić Thornfield jak można najprędzéj i niby niechcący aby nie odgadnięto istotnéj przyczyny mojego wyjazdu. Wtém dnia jednego, pani Fairfax odebrała od pana Rochester rozkaz przygotowania zamku na przyjęcie kilkunastu osób, które z nim miały wkrótce przybyć.

Zgadłam od razu że była mowa o świetném towarzystwie zebraném u państwa Eshton i że Bianka miała być w liczbie zapowiedzianych gości. Za nic w świecie, nie byłabym już wtedy odjechała. Po trzech dniach niezwykłych zabiegach, Thornfield Hall był już gotów na przyjęcie oczekiwanych gości, wyświeżony, wystrojony od stóp do głów, pysznił się bogatemi adamaszkami mebli, świetnemi barwami kobierców, błyszczącym mosiędzem kominków, rzadkiemi kwiatami napełniającemi cieplarnie, jedném słowem, zbytkiem jaki jaśniał w każdém zakątku.

Schowana za firanką, patrzałam z okna na przybywających gości, cztery osoby jechały konno

szybkim galopem, poprzedzając dwa odkryte powozy w których powiewały pióra i lekkie zasłony. Ale nie na nich zatrzymały się moje oczy... poznały one od razu pana Rochestera, pędzącego z przodu na karym koniu, którego znałam tak dobrze. Sternik wyprzedzał swojego pana. Obok, jechała śmiałym galopem młoda kobiéta, któréj czerwona suknia zamiatała prawie ziemię. Długa zasłona kapelusza dozwalała jednak oglądać piękną i dumną głowę, z któréj spływały gęste pierścienie czarnych włosów.

— To panna Ingram, zawołała pani Fairfax.

Wszakże zbolałe moje serce daleko wprzódy odgadło szczęśliwą współzawodniczkę. Chcąc się nieco uspokoić, odeszłam od okna i wróciłam do siebie, zabierając Adelę niezmiernie ubolewającą, że nie zostanie zaraz przedstawioną przybyłym paniom.

— U mojéj mamy, mówiła prawie ze łzami, ile razy były jakie strojne panie, byłam z niémi ciągle, często patrzałam jak się ubierały, to było tak zabawnie... takim sposobem można się przecie nauczyć ładnie ubierać.

Znajdowałam rodzaj rozrywki w słuchaniu tych pociesznych żalów Adeli, wkrótce też przyszło pomyśléć o obiedzie, zapomniano bowiem zupełnie o nas, w ogólném zamięszaniu.

Wieczór upłynął, i nie zaproszono nas do bawialnych pokojów. Nazajutrz, po śniadaniu, goście pojechali oglądać malownicze widoki jakich nie brakło w okolicy, gdy wracali, przypatrywałam się im znowu. Jedna tylko Bianka jechała tą razą konno, a pan Rochester był tuż przy niéj. Jechali z daleka od reszty towarzystwa, schylając się często ku sobie, wiodąc rozmowę, która się zdawała bardzo ich zajmować.

— Jakże ci się podoba panna Ingram? zapytała mnie pani Fairfax, która była weszła nie postrzeżona odemnie.

— Niepodobna mi ztąd dobrze się jéj przypatrzéć, odpowiedziałam.

— Zobaczysz ją bardziéj zbliska dziś wieczór. Pan Rochester mi polecił abym cię uprzedziła że was czeka z Adelą zaraz po obiedzie. Dodał nawet, pamiętając ile jesteś dzika, że wrazie odmowy, gotów sam przyjść po ciebie do twego pokoju.

Nie życząc sobie przywieść go do téj ostateczności, udałam się do salonu o godzinie oznaczonéj, prowadząc Adelę ślicznie ustrojoną i tak zajętą sobą, że nie śmiała prawie się ruszać z obawy zepsucia czego w swojém ubraniu. Szczęśliwym trafem, obiad nie był jeszcze skończony i mogłam wybrać miejsce w najmniéj widocznym kącie salonu, oświetlonego jednak bardzo rzęsisto, na moje nieszczęście.

Po kilku chwilach oczekiwania, portiera zasłaniająca drzwi uchyliła się, usłyszałam posuwanie krzeseł na posadzce i weszło do pokoju kilka kobiét, którym miałam czas się przyjrzéć, gdyż nie zdawały się zwracać wcale na mnie uwagi. Było ich ośm, na wszystkich tych dumnych istotach powtarzał się w odcieniach mniéj lub więcéj wybitnych, jeden wyraz zadowolenia i dumy, a raczéj pogardliwego lekceważenia. Wszystkie miały te same wystudyowane ruchy i wdzięk przybrany. Niektóre raczyły odpowiedziéć lekkim skinieniem głowy na mój ukłon pełen uszanowania, inne spojrzały tylko na mnie jakby ze zdziwieniem. Dwie panny zabrały zaraz moją uczennicę z sobą na kanapę, i bądź ze szczerego zajęcia, bądź tylko z udanéj życzliwości, zdawały się być całkiem oddane rozmowie, którą uradowana Adela prowadziła z niezrównaną swobodą.

Nie potrzebuję mówić że cała moja uwaga zwróciła się od razu na Biankę. Twarz jéj wyrażała dumę, zaprawną pewném szyderstwem, miałam téż niebawem sposobność przekonania się dowodnie, że mało było serca w uśmiechu, który często igrał na jéj różannych ustach. Rozmowę jéj bowiem przeplatały nieustannie żarciki często nieprzyjemne dla osób, które były ich celem.

— Czyż to może być kobiéta wybrana przez pana Rochester? pomyślałam.

Ale jakże o tém wątpić? Z resztą, rzadka piękność panny Ingram, starczyła w tym razie za wszelkie usprawiedliwienie.

Firanka uchyliła się powtórnie i wniesiono kawę. Panowie weszli wtedy; pan Rochester szedł ostatni, widziałam go, nie podniósłszy nawet oczu, a razem uczułam jak głęboka przepaść rozpadła się pomiędzy nami od téj ostatniéj chwili, w któréj, trzymając moją rękę i patrząc mi w oczy, mówił głosem wzruszonym, z przepełnionego serca, o szczęściu jakie mu sprawiło że mi zawdzięczał życie. W téj chwili zaś wszedł nie powitawszy mnie, nie spostrzegłszy mnie nawet. Usiadł w drugim końcu pokoju przy paniach, a wszystko to zdało mi się już naturalném. Nie mogłam się jednak oprzéć chęci spojrzenia ukradkiem na niego, widząc że jego uwaga była zwrócona w inną stronę i podniosłam na chwilę oczy dotąd niby pilnie zajęte robotą. Spojrzenie to było mi radością błogą i boleścią zarazem, niby człowieka spalonego pragnieniem, który wiedząc o grożącém mu niebezpieczeństwie, schyla się jednak nad za-

trutém żródłem i chciwie się napawa śmiertelną rozkoszą.

Powiedziano to już nieraz że piękność nie mieści się w widzianym przedmiocie, ale raczéj w oku które nań patrzy. Jest to wielka prawda. Byłyż pięknością te rysy ostre i wyraziste, te brwi gęste i czarne, owa twarz żółtawo blada, owe czoło zbyt wyniosłe i cała ta postać silna wypowiadająca śmiałość i wolę samowładną? Nie zaiste, wszystko to nie było pięknem, według pospolitego znaczenia tego wyrazu, dla mnie przecież, czyż nie było tam więcéj od saméj piękności? Wszakże nie chciałam kochać tego człowieka? Wszakże pracowałam gorliwie aby zniszczyć uczucie, które się obudziło we mnie pomimo wiedzy? A jednak, zaledwie go znowu ujrzałam, już odzyskał całą władzę przeciw któréj walczyłam wszystkiemi siłami. Cóż będzie ze mną daléj...?

Podczas kiedy mój umysł probuje zmierzyć w ten sposób głębie przepaści, w którą zapadłam, cóż robi szczęśliwa Bianka Ingram. Oto stoi oddalona od reszty towarzystwa, wdzięcznie pochylona nad książką, któréj oglada niby rysunki. Czeka,—ale wié że nie będzie długo czekała. Pan Rochester powstawszy ze swego miejsca, i oto już jest przy niéj. Czyż on się nawet domyśla żem tu obecna...? Bianka rozpoczyna rozmowę, mówi o Adeli, o wychowaniu w ogólności, o nauczycielkach, a trzeba słyszéć w jaki sposób się o nich wyraża. Tak oczewista niegrzeczność, obudza we mnie w téj chwili tylko politowanie. Wyczerpawszy ten przedmiot, panna Ingram prosi pana Rochestera aby z nią śpiewał i podbiega z gracyą do fortepianu. To daje mi sposobność odejścia, przy dźwięku więc piérwszych akkordów wysuwam się z pokoju, nie postrzeżona od nikogo.

Idąc przez kurytarz, spostrzegłam że mi się bucik rozwiązał. Kiedy się nachyliłam, aby temu zaradzić, otwarły się drzwi od sali jadalnéj i znalazłam się naprzeciw pana Rochestera.

— Jak się pani masz? zapytał.

— Bardzo... dobrze.

— Dla czego nie przemówiłaś pani do mnie ani słowa przez cały wieczór?

Pomyślałam że mogłabym mu odpowiedziéć tém samém zapytaniem, ale nie chciałam go ośmielić i wydać się z dręczącą mnie boleścią.

— Lękałam się, rzekłam, być natrętną.

— Cóż pani robiłaś w czasie mojéj niebytności?

— To co robię zawsze, uczyłam Adelę...

— Zatrudnienie to musiało panią zmęczyć, bo jesteś bledsza jak zwykle... Jesteś pani taka jaką byłaś kiedy cię po raz piérwszy widziałem. Czy nie przeziębłaś w czasie owego pożaru?

— Bynajmniéj.

— Więc wróć pani do salonu, porzucasz nas za wcześnie.

— Jestem zmęczona.

— Zmęczona... i trochę smutna... Cóż pani jest?

— Nic wcale, nie jestem smutna!—odrzekłam z przymuszoną spokojnością, ale pan Rochester widocznie poznał stan mój nienaturalny bo rzekł:

— Jesteś nią pani tyle, że jeszcze kilka słów, a jużbyś miała łzy w oczach... Co mówię? oto już jedna z nich drży na twoich rzęsach. Gdybym miał czasu więcéj i nie lękał się nadejścia kogokolwiek, radbym się dowiedziéć przyczyny tego smutku. Zresztą, na dziś wieczór, mam panią za wytłómaczoną, ale życzę... to jest... radbym abyś bywała co wieczór w salonie, dopóki moi goście tu bawią. A teraz... dobranoc,... żegnam cię...

Uciął nagle, zagryzł wargi i szybko odszedł.

IX.

Nie zastanawiając się nad powodami, które skłaniały pana Rochestera do żądania abym bywała na wieczornych jego zebraniach, ograniczałam się na biernem posłuszeństwie. Nie chcę się rozwodzić nad wszystkiem czego się tam nauczyłam o wielkiém świecie, o jego zwyczajach i małostkach, o pracy jaką sobie w nim zadają aby błyszczéć i módz się podobać, wspomnę tylko o dwóch osobach które mnie w tym salonie najżywiéj obchodziły... o Biance i panu Rochester.

Postrzeżenia moje bowiem przekonały mnie, że jakkolwiek nie można było wątpić o bliskiém połączeniu Rochestera z panną Ingram, ale przez nie nabierałam coraz większéj pewności, że serce jego bardzo mało bierze udziału w téj sprawie. Z tąd też, jakkolwiek nie było podobném aby obojętność nastąpiła w przeciągu dni kilku po uczuciu tak silném jakie mnie owładnęło, nie czułam w sobie jednak zazdrości... Z kądże to pochodziło? Z dumy? zapewne... bo uznałam niegodną zazdrości Biankę, która tylko na pozór zdawała się być zbiorem wszelkich doskonałości. Było w niéj, bez wątpienia, wiele blasku, ponęty i wabności, ale brakło rzeczy najważniejszéj, serca i prostoty.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).
